

## „ZŁUDZENIE OLBRZYMICH TERYTORIÓW...” OBRAZ NADAWCY W LISTACH ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO DO ANIELI MIECZYŚLAWSKIEJ

MICHAŁ KOPCZYK\*

Już od dawna nie trzeba szczególnie uzasadniać miejsca Andrzeja Bobkowskiego w gronie najważniejszych pisarzy polskiej emigracji minionego wieku. Na miano to zasłużył sobie swymi niepospolitymi esejami, opowiadaniem, dziennikami. Wśród tych ostatnich najważniejsze miejsce należy się z pewnością *Szki-com piórkim* – przenikliwej i stronniczej zarazem wivisekcji Francji widzianej z wojennej perspektywy. Dłużej przyszło czekać na wydanie korespondencji, już jednak pierwsze większe zbiory listów, publikowane od lat 80. głównie przez Jana Zielińskiego<sup>1</sup>, nie pozostawiały wątpliwości, że mamy do czynienia również z niepospolitym talentem epistolarnym. W ten sposób czytelnik mógł wreszcie przekonać się naocznie o zasadności opinii, jaką krótko po śmierci pisarza wygłosił Tymon Terlecki, przyznając mu miejsce wśród największych współczesnych epistolografów<sup>2</sup>. Aktywności na tym polu sprzyjała izolacja, w jakiej znalazł się Bobkowski od 1948 roku, a więc od czasu, gdy osiadł w Ameryce Środkowej.

Były chyba jednak i głębsze powody specjalnego upodobania autora *Szki-ców piórkim* do form epistolarnych. Już przecież swym dziennikiem dowiódł on, że dobrze czuje się w formach fragmentarycznych, otwartych, „nieskończonych” – to znaczy nie skrupowanych zbyt ciężkim ciężarem tradycji; formach, które zdolne

---

\* Michał Kopczyk – dr, adiunkt w Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej.

<sup>1</sup> Pomijam tu garść listów Bobkowskiego opublikowanych krótko po jego śmierci w poświęconym mu numerze londyńskich „Wiadomości” (1962, 32/33), a także epistolarne w formie literackie relacje z Ameryki Łacińskiej, jakie publikował Bobkowski w prasie krajowej.

<sup>2</sup> „Było w Bobkowskim właściwie dwóch pisarzy – pisał Terlecki – ten, który występował publicznie i – poufny epistolograf. Obok Pawła Hostowca należał do nielicznych, coraz mniej licznych przedstawicieli pięknej sztuki pisanego listu, która jest tym bardziej sztuką, im mniej chce nią być. [...] Korespondencja – choć zapewne jest to niemożliwe od razu i w pełnej skali, powinna być traktowana na równi z twórczością drukowaną. Obie wyrażają człowieka, który chciał i umiał być sobą, a jeśli był – to tylko całym sobą”. T. Terlecki, *Andrzej Bobkowski* [w:] A. Bobkowski, *Listy do Tymona Terleckiego, 1956–1961*, Warszawa 2006, s. 33–34. Po raz pierwszy esej Terleckiego ukazał się we wspomnianym numerze „Wiadomości” z 1962 roku. Z epistologafią Jerzego Stempowskiego zestawili listy Bobkowskiego również Krzysztof Cwikliński; idem, *Andrzeja Bobkowskiego ars epistolandi*, „Odra” 1992, nr 6.

są nie tylko opisać rzeczywistość (a tę traktował pisarz jako byt z natury nieuporządkowany, niemieszczący się w zamkniętych formułach), ale i oddać charakter jego żywej, niespokojnej inteligencji, która ujawnia się nie poprzez tworzenie myślowych systemów, ale raczej poprzez siłę trafnych obserwacji i diagnoz. I wydaje się, że właśnie w tych gatunkach – dziennikach, listach – bardziej chyba niż w pisanych nieco „pod Conrada” opowiadaniach, ujawnił się jego literacki talent. Bobkowski był osobowością dialogiczną, przez co rozumiem taką osobowość, dla której istnienie w sferze interpersonalnej jest faktem oczywistym i niezbędnym do prawidłowego funkcjonowania. Wybierał więc takie formy wypowiedzi, w których obecność owego innego, którym jest interlokutor, czyni szczególnie widoczną jego odrębność i swoistość. O ile w przypadku korespondencji jest to strategia w pewien sposób oczywista (znaczące i niedające się wy tłumaczyć wyłącznie warunkami życia jest natomiast upodobanie do tego typu wypowiedzi), przestaje być oczywista w przypadku takich gatunków jak diariusz – z definicji „samozwrotnych”, nakierowanych na jednostkowy odbiór świata. Tam wyraża się to przede wszystkim wprowadzeniem żywiołu dialogowego, relacji ze zdarzeń, a także – zwłaszcza w *Szkicach piórkim* – szeroko rozumianą intertekstualnością. Postawę taką tłumaczy tu do pewnego stopnia wpływ personalizmu, którym niewątpliwie nasiąkł pisarz, podobnie jak i spora część jego generacji<sup>3</sup>. Ścisłej, tłumaczy on, kluczową zarówno dla niego, jak i dla światopoglądu personalistycznego (tu przywołam formułę Mouniera) „dążność do ujmowania świata osoby ludzkiej nie jako izolowanego ‘ja’ [...], ale jako komunikowania się świadomości”<sup>4</sup>.

Pisząc o sobie – a nie mała część jego dorobku ma charakter autobiograficzny – podporządkowuje cały swój warsztat literacki nakreśleniu osoby, która swą pełnią, wiarygodnością i autentycznością urzekłaby czytelnika, pozwalając mu zapomnieć o granicy umowności, jaka dzieli obie strony kontaktu. Jego biografizm – trafnie zauważył Andrzej Stanisław Kowalczyk –

pozostaje w swej istocie projektem personalistycznym, wizją komunikacji literackiej, w której konwencji przeciwstawione jest pragnienie autentyczności, głosowi znikąd – głos z naszego świata, lekturze neutralnej, ‘nie zobowiązującej’ lub wyznawczej – obcowanie osób<sup>5</sup>.

Tego kontaktu z autorem, osobą znajdującą się po drugiej stronie kartki, oczekiwał też od literatury, którą czytał. Cenił dzieła, które nie zasłaniały sobą świata,

<sup>3</sup> O twórczości autora *Szkiców piórkim* w kontekście personalizmu pisał Krzysztof Dybczak; idem, *Personalistyczna krytyka literacka. Teoria i opis nurtu z lat trzydziestych*, Wrocław 1981; por. także: A. Sulikowski, *Tradycja personalistyczna we współczesnej eseistyce polskiej* [w:] *Polski esej. Studia*, red. M. Wyka, Kraków 1991.

<sup>4</sup> E. Mounier, *Dwie alienacje* [w:] idem, „*Co to jest personalizm?*” oraz wybór innych prac, tłum. D. Eska, M. Turowiczowa, A. Krasieński, Kraków 1960, s. 210.

<sup>5</sup> A. St. Kowalczyk, *Słowa – rzeczy – życie. Świat według Bobkowskiego* [w:] A. Bobkowski, „*Przysięgłem sobie, że jeśli umrę, to nie w tłumie...*”. *Korespondencja z Anielą Mieczysławską 1951–1961*, oprac. A. St. Kowalczyk, Wałbrzych 2003, s. 32.

ale odkrywały go przed czytelnikiem, wciągając go w dialog z autorem. Za znaczący z tego punktu widzenia uznać można jego stosunek do twórczości Flauberta; nie odejmując wartości klasycznym dziełom autora *Pani Bovary*, wielokrotnie podkreśla zalety jego korespondencji, ubolewając nad lekceważącym stosunkiem do nich niektórych badaczy. Oburzony krytycznymi uwagami Parandowskiego umieszczonymi w *Alchemii słowa*, w jednym z listów do matki napisze:

Dobrze: *Madame Bovary*, *Salammbo*, *Education sentimental* – pomniki prozy, stylu, ale równocześnie najkompletniej odbarwione z tego, co się nazywa poglądem autora. Zimny skalpel, obiektywizm kryształowy, autor ukryty tak, że go się nie wyczuwa nigdzie. W listach, w których nie mocuje się z każdym zdaniem, w których puszcza swobodnie farbę, najczęściej żółć, jest dopiero naprawdę sobą. Z nich widzi się, że jeżeli był wielkim pisarzem, to był także zdrowym kawałkiem filozofa, choć sam gardził filozofami. Jego opinie o tym, co nie było sztuką, są nieraz niebywale wnikliwe i świadczą, że poza swoim fachem to była głowa<sup>6</sup>.

Zarazem jednak sam nie rezygnuje z beletrystyki, marzy o napisaniu powieści, która byłaby jego *opus magnum*, biletem wstępu do elitarnego klubu pisarzy. „Nic nie wiem, co z tą moją książką – napisze do Tymona Terleckiego o swych wojennym diariuszu tuż przed jego publikacją w 1957 roku – ale nie mam żadnej emocji, bo to starzyzna, a mnie bardziej obchodzi coś nowego, bardziej ‘literatura’ niż tamto”<sup>7</sup>. W listach do Jarosława Iwaszkiewicza nazwie *Szkice piórkiem* „tomem notatek”, „amorfem”<sup>8</sup>, „przeplatankami”<sup>9</sup>. Swych listów i dzienników nie stawia na równi z dziełami *stricte* literackimi, wielokrotnie dezawuuje ich estetyczne walory, a niekiedy także wartość myślową. Fakt, iż temat ten powraca w listach wielokrotnie, każe jednak myśleć, że był on dla niego ważny, być może nawet był rodzajem kompleksu. Bobkowski pisze, że nie czuje się pisarzem, że ambicje literackie podporządkował innym – tym związanym z urzeczywistnieniem pełni życia, wolności, zgody ze światem, z samym sobą<sup>10</sup>.

<sup>6</sup> A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, red. E. Jurczyszyn, Warszawa 2008, s. 75.

<sup>7</sup> A. Bobkowski, *Listy do Tymona Terleckiego*, *op. cit.*, s. 85.

<sup>8</sup> A. Bobkowski, *Tobie zapisuję Europę. Listy do Jarosława Iwaszkiewicza*, oprac. J. Zieliński, Warszawa 2009, s. 29. Po raz pierwszy zbiór listów Bobkowskiego do autora *Panien z Wilka* opublikowała „Twórczość” w roku 1986 (nr 2, oprac. J. Zieliński).

<sup>9</sup> *Ibidem*, s. 46.

<sup>10</sup> Symptomatyczny pod tym względem jest fragment listu do Michała Chmielowca z listopada 1953 roku, w którym uzasadnia Bobkowski swą odmowę wstąpienia do Związku Pisarzy Polskich: „Bez żadnych skromnych wyginań się, całkiem zwyczajnie nie uważam się za pisarza, a jedynie za człowieka piszącego. Pisarz – to coś więcej, coś, co zanadto szanuję, żeby już podszyc się pod to miano. Niczego nie opublikowałem, nie mam pod pachą nawet pięciu kartek oprawnych w tekturkę i co? Naprawdę – wprost nie miałbym czoła – jak to się mówi – występować z propozycją przyjęcia mnie do towarzystwa ludzi, z których wielu na pewno nie zasługuje na miano pisarza, ale z których wielu innych zasługuje bardziej niż ja. [...] Nie chodzi o ilość – Chaderlos de Laclos napisał tylko jedną rzecz i na pewno był wielkim pisarzem – chodzi mi po prostu o moją własną rzetelność” (List Andrzeja Bobkowskiego do Michała Chmielowca, Archiwum Emigracji Biblioteki UMK, sygn. AE/MC/I-3, cyt. za: K. Cwikliński, *Znani i nieobecni. Studia z problematyki polskiej literatury*

Własne listy traktuje użytkowo – jako sposób nawiązania bądź podtrzymywania kontaktu na odległość, miejsce, w którym toczy się zasadnicze dyskusje światopoglądowe, ustanawia stronnictwa zwolenników, określa granice między „swoimi” a „obcymi”. Jednocześnie jednak dba o estetyczne walory wiadomości, przekracza stale ramy konwencji epistolarnej, co polega najczęściej na upodobnieniu listu do dziennika<sup>11</sup>. Przykładem może być ten wysłany do matki: rozpoczęty 17 grudnia 1951 roku składa się aż z siedmiu części opatrzonych datami dziennymi<sup>12</sup>. Innym zabiegiem podkreślającym literacką fakturę listu staje się często umieszczenie w nim licznych odniesień intertekstualnych<sup>13</sup>. Bobkowski swe listy pisze jak pisze się literaturę, konstruuje jak konstruuje się dzieła sztuki.

\*

Konstruuje jednak przede wszystkim siebie, a przy tym w każdym wypadku inaczej, każdemu ze swych rozmówców ukazując inny wymiar swej osobowości. Zmienia głos, dostosowując go do swego korespondenta, w celowy sposób profiluje swój wizerunek, by wydobyć te jego elementy, które z określonych powodów są dla niego pożądane i korzystne<sup>14</sup>. I właśnie ten autokreacyjny wymiar listów Andrzeja Bobkowskiego interesuje mnie tu szczególnie; to jak wygląda owo – jak określił kreację literacką Jerzy Jarzębski – „lepienie biograficznego mitu z materiału rzeczywistych faktów?”<sup>15</sup> Skupię się więc na tym, co zdaniem niektórych badaczy stanowi immanentną część owej szczególnej odmiany listu, jakim jest list artysty. Wypada bowiem zgodzić się z Magdaleną Popiel, która skłonna jest ten typ listu traktować jako działanie z gruntu podporządkowane potwierdzeniu tożsamości nadawcy jako artysty.

W komunikacji epistolarnej [bowiem] – uzasadnia badaczka – dialog z konkretnym odbiorcą, a więc sytuacja zasadniczo różna od dziennika, pamiętnika czy autobiografii, jest swoistą pro-

---

*emigracyjnej życia literackiego na uchodźstwie*, Toruń 2008, s. 148). Z czasem – a zwłaszcza po ukazaniu się w 1957 roku *Szkiców piórkiem* – zdanie Bobkowskiego na temat własnych kompetencji pisarskich zmieniało się, wydaje się jednak, że główny wpływ na jego samooceny w tym względzie miał autorytet i ranga rozmówcy.

<sup>11</sup> Por. A. Bobkowski, *List z Gwatemali*, oprac. K. Ćwikliński, „Kwartalnik Artystyczny” 1995, nr 1. Po raz pierwszy na tę właściwość listów Bobkowskiego zwrócił uwagę Andrzej St. Kowalczyk. Por. tenże, *Nieśpieszny przechodzień i paradoksy. Rzecz o Jerzym Stempowskim*, Wrocław 1997, s. 131.

<sup>12</sup> Por. A. Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, op. cit.

<sup>13</sup> Por. J. Zieliński, „Ode mnie przynajmniej listy są coś warte”. *O listach Andrzeja Bobkowskiego do rodziny*, „Twórczość” 1984, nr 8, s. 88.

<sup>14</sup> Por. M. Kopczyk, *Kreacja nadawcy w komunikacji listowej – na przykładzie korespondencji Andrzeja Bobkowskiego* [w:] *Jazyková komunikácia v 21. staročí*, red. V. Patráš, Banská Bystrica 2001.

<sup>15</sup> J. Jarzębski, *Powieść jako autokreacja* [w:] tenże, *Powieść jako autokreacja*, Kraków–Wrocław 1984, s. 412.

wokacją dla tożsamości kreacyjnej artysty. W tę konfigurację ja–ty wkraczają dwa elementy o mocy artefakcyjnej: dystans i medium. Oddalenie i zapewniona znakami kartka papieru tworzą scenariusz spektaklu. Tworzą także rolę, w którą wchodzi nadawca: rolę artysty w działaniu, artysty w akcji. List ujawnia ze szczególną siłą dialektykę rozpoznania siebie poprzez określenie sfery możliwości i konieczności. Koniecznością staje się tu działanie służące rozpoznaniu własnych możliwości jako artysty. Skłania to m.in. do autotelicznej orientacji przekazu, która odsłania kompetencje nadawcy<sup>16</sup>.

W tym wypadku mamy do czynienia ze szczególną „odmianą” pisarza: z pisarzem emigracyjnym, a więc takim, który liczyć się musi z tym, jak postrzegany jest w owym specyficznym środowisku, które wobec słabości opiniotwórczych instytucji, braku prawdziwie merytorycznych mechanizmów promocji i wymiany myśli, skazane było na egzystencję półprywatną, by nie rzec – koteryjną. Życie emigracyjnych elit miało charakter w dużej mierze nieoficjalny, to, co najwartościowsze, toczyło się podskórnie, ale właśnie dlatego taką rolę odgrywał w niej rytuał konwenansów, skomplikowane konfiguracje znajomości i sympatii. W takich warunkach właśnie korespondencji przypadała często pierwszoplanowa rola jako nie tylko już medium komunikacji, ale i spoiwa szczególnej wspólnoty emigrantów, samotnych, rozrzuconych przez los obywateli „wspólnoty wyobrażonej” w ścisłym znaczeniu tego słowa, emigracji skłóconej wewnętrznie, ale i jakoś łączącej do siebie, szukającej ciepła współobecności. O wspólnocie w kontekście epistolografii naszej „drugiej emigracji” pisał trafnie Andrzej St. Kowalczyk:

Epistolografia wraz z czasopiśmiennictwem kreowały wychodzącą wspólnotę w większym może stopniu niż deklarowane cele polityczne czy członkostwo organizacji. Pisanie do siebie listów bardziej zbliża niż działanie pod egidą tej samej partii, sympatia do adresata ma więcej barw i odcieni niż poczucie więzi organizacyjnej. [...]

[...] korespondencja prywatna wzmocniała więzi osobiste, list był namiastką rozmowy dla krewnych czy przyjaciół, którzy całymi latami nie mogli się spotkać, bo jednych dzielił ocean, innych żelazna kurtyna. Dla wielu emigrantów była to rzadka okazja formułowania myśli w języku ojczystym; list wysyłany i otrzymywany stanowił często jedyny znak przynależności do świata polskiego. [...] Dla nas epistolografia ważna jest jednak z innego powodu: w większym stopniu niż dzienniki, wspomnienia i autobiografie utrwała klimat obcowania ludzi z sobą, portretuje osoby w sytuacjach i rolach, w jakich nigdzie indziej nie występują, skłania do sformułowania myśli, które – gdyby nie list – nie zostałyby może nigdzie nie wypowiedziane<sup>17</sup>.

Zaiste, lektura listów autora *Almy* pokazuje, jak daleka od idealistycznych wyobrażeń była codzienność emigracyjnej egzystencji. A zarazem, jak wiele wy-

<sup>16</sup> M. Popieł, *List artysty jako gatunek narracji epistolograficznej. O listach Stanisława Wyspiańskiego* [w:] *Narracja i tożsamość* (I). *Narracje w kulturze*, red. Wł. Bolecki, R. Nycz, Warszawa 2004, s. 177, podkr. M. P.

<sup>17</sup> A. St. Kowalczyk, *Od Bukaresztu do Laffitów. Jerzego Giedroycia rzeczpospolita epistolarna*, Sejny 2006, s. 8–9, podkr. M. K.

siłku wymagało to, by w owej codzienności nie pograżyć się bez reszty. Otóż jednym ze sposobów walki z wszechogarniającą i, zdawało się, unicestwiającą codziennością, okazywała się skomplikowana gra autokreacji. Nigdy bowiem „być” nie znaczyło równie silnie „być postrzeganym” niż właśnie wówczas, w tamtym kontekście i warunkach. Świadom znaczenia tej gry i reguł, jakie nią rządzą, Bobkowski wykorzystuje okazję, tocząc walkę o własny wizerunek jako twórcy, o własną ważność, stwarzając się od podstaw, swój los emigranta osiadłego w odległym kraju przerabiając w sytuację człowieka spełnionego, a przy tym świadomego swego znaczenia i miejsca w świecie. Tę swą strategię prowadzi Bobkowski zarówno z wielkimi i prominentnymi spośród swoich współczesnych, jak i z tymi mniej znanymi. Ci pierwsi to: Jerzy Giedroyc, Józef Wittlin, Tymon Terlecki, Kazimierz Wierzyński, Jerzy Turowicz, Jarosław Iwaszkiewicz, ci drudzy: matka pisarza Stanisława, szwagier Jan Birtus, stryj Aleksander Bobkowski i inni.

\*

Aniela Mieczysławska należy z pewnością do owej drugiej grupy. Nie była kimś liczącym się w świecie emigracyjnych elit. I choć bliskie znajomości łączyły ją z najwybitniejszymi (byli wśród nich i Giedroyc, i Czapski czy Wierzyński), co najwyżej nazwać ją można szarą eminencją emigracji. Ta dziedziczka fortuny (przepadłej) Lilpopów, żona dyplomaty z czasów II Rzeczypospolitej, kilka powojennych dekad spędziła w Nowym Jorku, gdzie utrzymując się z pracy w sklepie tekstylnym, pełniła przy okazji nieoficjalną i, nie trzeba dodawać, honorową funkcję przedstawicielki „Kultury” Giedroycia, a przy tym jednoosobowej instytucji charytatywnej i biura doradztwa w zakresie stypendiów, zapomóg finansowych dla emigrantów. To w jej dwupokojowym mieszkaniu przy Madison Avenue zatrzyma się redaktor „Kultury” podczas nowojorskiego etapu swej podróży do Ameryki na początku lat 60.

Co więc połączyło ją z pisarzem z Gwatemali, który z zasady unikał związków ze stypendialną buchalterią? Pieniądze, rzecz jasna. Giedroyc postanowił wesprzeć Bobkowskiego, a znając jego trudny charakter wiedział, że sprawa jest delikatna, złożenie propozycji poruczył więc swej taktownej współpracownicy. Chodziło zaś o stypendium z *Fund for Intellectual Freedom*. Otóż i początek znajomości, która miała stać się przyjaźnią. Przyjaźnią bardzo osobliwą; jej siłą napędową, przecząc stereotypowym mniemaniom na temat idealnych przyjaźni, była bowiem asymetria: filozofii życia, upodobań estetycznych, stosunku do emigracji i konkretnych jej przedstawicieli, nade wszystko jednak temperamentu. O nietypowości tej przyjaźni zdecydowało także to, że poczucie powinowactwa, odczuwane zapewne przez obie strony, nie przerodziło się nigdy w zażyłość. Może dlatego, że żadna ze stron nie była obojętna na fizyczny urok drugiej, roz-

sądek kazał więc trzymać emocje na wodzy<sup>18</sup>. Osobiście poznali się dopiero trzy lata po rozpoczęciu wymiany listowej, a więc w 1954 roku, kiedy Bobkowski przyjechał do USA na konkurs modelarski. Ton pisanych od tego czasu listów staje się bardziej osobisty, choć w większym stopniu uwaga ta odnosi się do Bobkowskiego. Jego zaskakująco momentami bezpośrednie deklaracje (zaskakująco nawet jak na żywiolowy temperament autora *Szkieł piórkiem*) jego interlokutora traktuje bowiem z niezmiennym spokojem, skazując na obumarciu co bardziej ryzykowne tematy. Ale i jej zdarzają się zabawne lapsusy (np. pomylenie imienia żony pisarza Barbary) skłaniające do dociekań nad motywacjami nieświadomymi.

Mieczysławska opanowała doskonale sztukę bardzo cenną w środowisku emigrantów – sztukę dyplomacji, nieoficjalnych uzgodnień; przesądziło to o jej znaczeniu i, by tak rzec, niezbędności. I Bobkowski doskonale zdawał sobie z tego sprawę, jak i z tego, że jego korespondentka jest kimś daleko ważniejszym niż sprzedawczynią w sklepie odzieżowym. O znaczeniu tym ona nie omieszczała mu zresztą – z właściwą sobie elegancją – napomykać, jakby świadoma, że właśnie to czyni z niej partnera godnego być powiernikiem pisarza:

[...] z jednej strony – pisze więc któregoś razu – pracuję masę dla „Kultury” [...], z drugiej tu staję na głowie, by pobudzić nową emigrację i skłonić ją do utrzymywania roboty polskiej dyplomatycznej, bo widzę jej nie tylko konieczność, ale i rezultaty na terenie Stanów. Oczywiście, to nie robota efektywna, robota, o której w prasie otwarcie nie można pisać, by bowiem cały kontakt z State Department się skończył, ale jakżeż konieczna. Kropla drąży kamień – i te krople stale i konsekwentnie trzeba na kamień spuszczać [MB, 115, 24.3.58]<sup>19</sup>.

Bobkowski swój portret buduje konsekwentnie i z talentem, już na samym początku tej znajomości wyznaczając każdemu rolę do odegrania. W tym wypadku było to tym łatwiejsze, że w swej korespondentce odnalazł czytelnika, który gotów był podjąć narzuconą przez niego grę: on miał być prowokatorem, człowiekiem czynu i pisarzem, ona: wierną czytelniczką i agentką troszczącą się o los jego dzieł. On podkreślał swą życiową zaradność, raz po raz wpada w apodyktyczny, niekiedy protekcjonalny ton, akcentuje swój talent i pozycję w literackim środowisku, zażyłość z największymi na emigracji; mówi o sobie jako o „młodym”, „zapowiadającym się”, „nieopierzonym” pisarzu – ona zaś (będąc

<sup>18</sup> Bardziej wylewny był Bobkowski w listach do Giedroycia: „zakochałem się w PAM-ie, czyli w Mieczysławskiej” – wyzna w swej relacji z podróży (J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946–1961*, oprac. J. Zieliński, Warszawa 1997, s. 261). Kiedy indziej: „PAM jest kapitalna – no i ma całkiem dobrze w głowie” (*ibidem*, s. 267). I Giedroyc po wizycie „PAM” w Maison Laffitte: „Była tu Aniela Mieczysławska, bardzo plotkowaliśmy o Panu. Jest ona w Panu formalnie zakochana” (*ibidem*, s. 291).

<sup>19</sup> Cytaty z listów A. Bobkowskiego i A. Mieczysławskiej oznaczać będę w nawiasie kwadratowym (skrót MB, numer strony oraz data) wg wydania: A. Bobkowski, „Przysiągłem sobie, że jeśli umrę, to nie w tłumie...”, *op. cit.*

od niego starsza o trzy raptem lata) o „swoim wieku” i „dużym zapasie doświadczenia”. Urok owej gry, jakiej jesteśmy świadkami, wynika w dużej mierze właśnie z tego, że to uczestnicy ustalają jej reguły, a nie rzeczywistość. Ani on nie jest bowiem pisarzem w ścisłym znaczeniu tego słowa (gdy w 1951 roku rozpoczyna się wymiana, dorobek Bobkowskiego jest stosunkowo niewielki, większość dzieł dopiero powstanie lub też czeka w szufladzie), ani ona nie jest jego czytelniczką. Rola, jaką odgrywa – rola tego, kto podziwia, komplementuje, ponagla do pracy – poparta jest raczej wiarą w talent swego rozmówcy niż znajomością jego dorobku. Wszystko, co dzieje się między uczestnikami tej osobliwej rozmowy, utkane musi być ze słów, przyjęte na wiarę.

Zwłaszcza w komentarzach odnoszących się do własnych dzieł (najczęściej zresztą projektowanych) Bobkowski niejednokrotnie przekracza cienką granicę megalomanii. Poczucie bycia artystą miało dla niego wielkie znaczenie (świadczy o tym najdobitniej obsesyjność tego tematu), czemu nie przeczy fakt, że zarazem próbuje się wyzwolić z wyobrażenia twórcy rozumianego jako osoba definiująca się wyłącznie przez własne dzieła. O innych autorach pisze zwykle z przekąsem, a nawet poczuciem wyższości:

Mam ochotę posłać wreszcie w całości Giedroyciowi mój dziennik z Francji 40–44. Jak teraz przeczytałem tę – przepraszam za określenie, ale innego nie znajduję – upławową prozę Julien Gre-ena w jego *Journal*, to doszedłem do wniosku, że moje i lepsze, i sto razy ciekawsze. I miejscami skandaliczne. [...] Teraz w lutowym i marcowym numerze „Kultury” wyjdą dwie moje nowele. Jestem ciekawy, czy będą się Pani podobać. Przypuszczam, że ta druga *long short story* powinna się Pani podobać. Mnie się wydaje niezła [...] [MB, 91–92, 28.2.56].

Swój obraz w oczach interlokutorki buduje Bobkowski najczęściej poprzez podkreślanie opozycji między „innymi” a sobą. „Innymi” są tu np. pisarze z kręgu londyńskich „Wiadomości”, drażniący go swym tradycjonalizmem – zwłaszcza w definiowaniu obowiązków wobec kraju. Zarazem jednak dba o to, by również na tle innych współpracowników „Kultury” nie zatracić swej odrębności, a to każe mu podkreślać dzielące go z nimi różnice. Powiadamia więc swoją rozmówczynię, iż „nie znosi”, „nie jest w stanie tak wyczuć [...] artyzmu i intelektualizmu, który uprawia Józio [Czapski] [MB, 122, 10.5.58], oraz że Konstantego Jeleńskiego uważa za „wymoczkę” [tamże, s. 124]. Najważniejsza rola przypadła tu jednak Jerzemu Giedroyciowi; ilość wywołań jego osoby czyni go właściwie trzecim bohaterem tej wymiany. Jako znajomy obu korespondentów staje się od początku swego rodzaju „miejscem wspólnym” – relacjonuje się i komentuje jego działania i wypowiedzi, prowadzi z nim zaoczne polemiki. Bardziej aktywny na tym polu jest Bobkowski, któremu zdarza się przysyłać korespondentce kopie listów wysyłanych do Redaktora, oczywiście uzupełnione odpowiednim komentarzem. Swą relację z Giedroyciem przedstawia w listach jako rodzaj „trudnej przyjaźni” – związek *hate-love*, oparty na przywiązaniu i odpychaniu. Nie ukrywa różnic, jakie ich dzieli, podkreśla jednak również zaufanie do niego i podziw dla jego



działań. Kładzie też nacisk na podobieństwa, jakie ich łączą; największym jest odwaga w stawianiu czoła zmasowanym atakom wrogów. Zarówno Giedroyc, jak i Bobkowski, jawią się tu jako samotni idealiści gotowi bronić własnych racji, nawet, gdy oznacza to przeciwstawienie się powszechnie panującym opiniom. Ta bliskość nie zapobiegnie jednak sytuacjom konfliktowym. Dwa razy swej czytelniczce zrelacjonuje Bobkowski okoliczności czasowego ochłodzenia stosunków z Giedroyciem. Powodem pierwszego kryzysu stanie się zaproszenie na wspólną dyskusję, jakie ten ostatni w 1955 roku wystosował do intelektualistów w Kraju. Krok ten potraktuje Bobkowski jako niepotrzebną prowokację pod adresem środowisk emigracyjnych i narażenie „Kultury” na zarzuty agenturalności oraz jej dalszą izolację. Co ciekawe, referując Mieczysławskiej całą sprawę, pominie zupełnie jej aspekt etyczny – a zarzutem niedoceny tej sfery otwiera list do Giedroycia<sup>20</sup>. W listopadzie 1956 roku zwierzy się swej korespondentce: „Boję się, że ten gomółka [sic] uderzy teraz Jerzemu do głowy” [MB, 93, 8.11.56]. Niestety te obawy okazały się zasadne – powodem kolejnego spięcia z Redaktorem staną się różnice w ocenie skutków polskiego „Października”; sceptycznie oceniający oznaki liberalizacji polityki warszawskich władz Bobkowski znajdzie się wówczas w opozycji nie tylko wobec samego Giedroycia, ale i prawie całego zespołu pisma.

Demonstrację dystansu wobec „Kultury” polegają tu nie tylko na podkreśleniu innego spojrzenia na taką czy inną kwestię, ale także na ogólnej niechęci do panującej w kręgu Redaktora intelektualnej atmosfery.

Gdybym miał siedzieć w Lafitte dłużej niż dwa tygodnie, to prawdopodobnie zacząłbym być niepoczytalny – napisze 13 maja '58 roku – bo tak od rana do nocy myśli chodzą tylko po wysokich nutach, jest tylko że „ten napisał”, „tamten powiedział”, „ó w wyraził to” – o rany, to nie dla mnie [MB, 123–124, 10.5.58, podkr. A. B.].

Niejeden to przykład wskazujący na niezwykle często ujawniający się tu aspekt wizerunku Bobkowskiego-nadawcy – mianowicie jego dystans do działalności intelektualnej idący z parze z pochwałą takich walorów, jak: aktywizm, praca, walka o życie. Pisarz kreuje konsekwentnie obraz siebie jako tego, kto swymi wyborami i wysiłkiem urzeczywistnia te wartości, przy czym wartością przywoływaną najczęściej jako uzasadnienie takiej postawy jest „życie”, które charakteryzuje jako „największą sztukę i rzecz najbardziej wartą zachodu” [MB, 114, 20.3.58]. Poza oczywistą funkcją autoprezentacyjną charakterystyki te odgrywają tu jeszcze jedną istotną rolę: stają się uzasadnieniem dla życiowych decyzji, wyboru niepewnego losu mieszkańca odległej od Europy Gwatemali,

<sup>20</sup> „[...] nie pomyślał Pan o stronie etycznej zagadnienia. Powiem Panu wprost, że mnie to nie zachwyca, a raczej brzydzi i jestem bardzo szczęśliwy, że nie jestem w Paryżu i że [...] nie będę zmuszony do ściskania rąk kurwom, choćby wśród nich miało być kilka porządných” – pisał do Maison Laffitte. J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946–1961, op. cit.*, s. 308.

a także usprawiedliwieniem się wobec korespondentki ze stosunkowo małej produktywności literackiej.

Temat motywów porzucenia Polski i Europy pojawia się kilkakrotnie. Przy tej okazji nie tylko podważa Bobkowski swą przynależność do własnego narodu i w ten sposób dystansuje się wobec czegoś, co traktuje jako sytuację narzuconą, nie mówi także nic na temat swego zakotwiczenia w czymś, co moglibyśmy określić mianem prywatnej ojczyzny<sup>21</sup>. To negocjowanie związku między tożsamością a miejscem czy wspólnotą narodową, przeciwstawianie się „mitowi wygnania” (Jerzy Świąch uznał ów mit za ostatnią utopię artystyczną europejskiego modernizmu<sup>22</sup>) niewątpliwie odróżnia go od ogromnej większości współczesnych mu emigrantów. Tym bardziej że również Gwatemalę, którą wybrał jako ostateczny cel i koniec cyklu swych życiowych zerwań, nie stała się dla niego nigdy ojczyzną, nie zyskała rangi osobistego środka świata.

Ujawniwszy się jako człowiek obyty z normami towarzyskimi, Bobkowski dba zarazem o to, by podtrzymywać obraz człowieka o silnej osobowości, zdecydowanego na działania i wypowiedzi niekonformistyczne, ostre, nawet skrajne. By osiągnąć ten cel, decyduje się na strategię wyzwania<sup>23</sup> – prowokuje swą czytelniczkę najczęściej dosadnym, kolokwialnym językiem, rubasnością, skrajnością opinii. Wszystkie chyba wymienione cechy znajdujemy w tyradzie, jaką skwitował wieści o wywiezieniu na Korsykę kilkudziesięciu emigrantów politycznych (w tym Polaków) w obawie przed demonstracjami z okazji oficjalnej wizyty Nikity Chruszczowa we Francji:

Cienkie nitki łączące mnie dotąd z Francją, zostały tym przycięte. Mam ich w d... To był w końcu zawsze naród Figarów. Ta cała historia z Korsyką tak mi zaleciała latami okupacji, tą podłą służalczością narodu, w którym rewolucje wyniszczyły *noblesse*, a z nią *noblesse d'âme*, i zostało w sumie chamstwo opoliturowane – zresztą czytaj *Szkice piórkiem*. Dobrze ich rozgryzłem, choć nieraz zdawało mi się, że przesadziłem. [...] Tu jest dzicz i wolę to, bo wiem, czego się spodziewać, tak samo jak poskramiacz tygrysów w klatce wie, z kim ma do czynienia. A tam nagle pokojowe i kulturalne kundły gryzą po tydkach. Chamstwo, świństwo, na które mi słów brak; i tak samo jak w czasie okupacji wysługiwali się Niemcom, tak teraz w razie wejścia Rosjan do Francji padliby plackiem i ochoczo ładowali ludzi do sowieckich orient expressów na Syberię [MB, 159–169, 6.4.60].

Zarazem wyraźnie widać tu dążenie do podtrzymywania konwencji niezobowiązującej rozmowy – to zaś wyklucza nie tylko mówienie wyłącznie serio, ale i nadmierne intelektualizowanie wymiany; to, o co kruszy więc kopie z Giedroyciem, na temat czego wygłasza tyrady w listach do młodszych przyjaciół,

<sup>21</sup> M. Kopczyk, *Refleksja nad kulturą w pisarstwie Andrzeja Bobkowskiego. Arkadia i apokalipsa*, Katowice–Warszawa 2003, s. 96.

<sup>22</sup> J. Świąch, *Nowoczesność. Szkice o literaturze polskiej XX wieku*, Warszawa 2006.

<sup>23</sup> Określenia tego używam oczywiście w sensie, jaki nadała mu Małgorzata Czermińska; i d e m, *Autobiograficzny trójkąt. Świadectwo, wyznanie, wyzwanie*, Kraków 2000.

tu zamyka często w kilku zdawkowych zdaniach. Osłabiona znacznie jest także pamfletowość – znak firmowy warsztatu epistolograficznego pisarza<sup>24</sup>. Tym, co pozwala wprowadzić do wypowiedzi pewną dozę dwuznaczności, ograniczyć powagę sytuacji, wizerunek osoby, „która wali zawsze prosto w oczy”, dostosowując do wymogów damsko-męskiej konwersacji, a nawet flirtu, jest humor. Skłonność do żartowania i trywializowania problemów widoczna jest zwłaszcza tam, gdzie mówi się o rzeczach naprawdę poważnych, np. o śmierci. Charakterystyczne z tego punktu widzenia, że relacjonując operację wycięcia rakowatej narośli, jaką przeszedł pod koniec 1957 roku, Bobkowski użyje do tego konwencji przywodzącej na myśl powieść przygodową. Podjęty przy tej okazji temat umierania i – tak ważnej przecież dla autora *Spadku* – religijności zostaje ponadto strywializowany rażąco upraszczającą metaforą, jakby dostosowaną do czytelnika mało rozumiejącego. „Wydaje mi się – pisze więc – że [...] wiara spełnia rolę paliwa w rakiecie międzyplanetarnej – pomaga do pokonania siły grawitacyjnej, do oderwania się od przyciągania ziemskiego, a potem już to jakoś inaczej idzie, bo poza przyciąganiem prawa lotu muszą być inne” [MB, 103, 2.1.58]. Niewątpliwie wiele zachowań (dobór niektórych tematów, wspomniana konwencja flirtu) da się wytłumaczyć po prostu towarzyskim uzusem, tym bardziej zobowiązującym dla człowieka, który – jak Bobkowski – został wychowany w poszanowaniu surowych zasad kodeksu honorowego i niejednokrotnie to poszanowanie demonstrował. Z pewnością zdawał sobie przy tym sprawę z tego, iż ma do czynienia z osobą o dość konserwatywnych przekonaniach i surowych normach moralnych. Odwołując się często do kategorii „właściwego” postępowania, do tego, „co się robi”, a „czego nie”, wiedział, że znajdzie akceptację u swej interlokutorki. Nie wyklucza to, rzecz jasna, jego rzeczywistych poglądów w tym względzie. Faktem jest w każdym razie, iż szeroko rozumiana sfera wartości moralnych jest tu podstawowym kryterium, za pomocą którego Bobkowski ocenia inne osoby lub zjawiska.

Z tym wiąże się inny ważny wątek tej korespondencji – uwagi dotyczące finansowej strony życia na emigracji. Bobkowski widzi wyraźny związek między pieniędzmi, czy szerzej trybem życia a poziomem moralnym. Zarzutem, jaki szczególnie często ponawia pod adresem współczesnych sobie emigrantów, jest ich zgoda na ekonomiczną zależność od różnego rodzaju instytucji zapomogowych i funduszy. Pod tym względem perspektywa, jaką przyjął, wydaje się interesująca, a polegała ona na wyjaśnieniu kwestii najbardziej zawitych i abstrakcyjnych (jak np. wolność) za pomocą pojęć konkretnych i namacalnych. To kryterium stosuje Bobkowski wielokrotnie do siebie, podkreślając swą finansową niezależność i fakt, że jako pisarz jest niezależny od zapomóg i stypendiów. Bywało jednak, że prowadziło go na myślowe manowce; na przykład wtedy,

---

<sup>24</sup> K. Ćwikliński, *O pamfletowym charakterze listów Andrzeja Bobkowskiego* [w:] „Polonistyka toruńska Uniwersytetowi w 50. rocznicę utworzenia UMK. Literaturoznawstwo”, red. J. Kryszak, Toruń 1996; por. także M. Urbanowski, *Listy z piórkim*, „Arcana” 1998, nr 3.

gdy prokuratorska pasja kazała mu wydawać wyroki na pisarzy wyłącznie na podstawie wiedzy o źródłach ich utrzymania. Najcięższe zarzuty padają tu pod adresem Miłosza, i być może właśnie w uprzedzeniu do autora *Zniewolonego umysłu* (uprzedzeniu demonstrowanym zawsze w tonie najbardziej emocjonalnym, nie tylko w listach do Mieczysławskiej) widać najwyraźniej to, że kryteria, za pomocą których Bobkowski oceniał otaczającą go rzeczywistość, sprawiały, że dostrzegał to, czego nie widzieli inni, równie często jednak zamykały go na uznanie, czy choćby zrozumienie, punktu widzenia innego niż jego własny<sup>25</sup>. Pozwala to zrozumieć, dlaczego nie doszło nigdy do światopoglądowych dyskusji z jego adwersarzami: Gombrowiczem, Jeleńskim czy Miłoszem, a więc z tymi, którzy – w przeciwieństwie do Mieczysławskiej – byłiby w stanie odeprzeć jego zarzuty własnymi argumentami.

Co jednak ciekawe, o wiele bardziej wyrozumiały jest Bobkowski wówczas, gdy chodzi o wady swych korespondentów, wydaje się, że postawa ta nie wynika wyłącznie z szacunku dla reguł epistolarnej etykiety. Gdy bowiem zestawimy listy do Mieczysławskiej z korespondencją z innymi adresatami, zobaczymy, w jak wielkim stopniu zmienia się wizerunek autora wewnętrznego. Interesujące pod tym względem są zwłaszcza jego komentarze dotyczące własnego pisarstwa; listy do Mieczysławskiej kontrastują z tym, co pisze w tym samym czasie do Iwaszkiewicza. W listach do autora *Brzeziny* raczej dezawuuje swój talent, pomniejsza zarówno zdolności, jak i ambicje, profiluje raczej gotowość do poświęcenia pisarstwa w imię doświadczenia pełni życia. Sprowadzając rzecz do pewnej skrajności można powiedzieć, iż kto inny koresponduje z Tymonem Terleckim, kto inny z Jarosławem Iwaszkiewiczem, Józefem Wittlinem, Jerzym Giedroyciem czy przyjaciółmi itd. Wrażenie, jakie narzuca się bowiem nieodparcie podczas lektury całości korespondencji tego autora, to wrażenie jakiegoś osobowościowego rozszczepienia podmiotu wypowiadającego się na szereg „ról epistolarnych” (określenie Małgorzaty Czerwińskiej)<sup>26</sup>, jego nieciągliwości i, by tak rzec, podatności na „zdradę”. Skala tego procesu wykracza poza ramy wyznaczone regułami przyjętych norm epistolarnych, wkracza zaś na teren swobodnych decyzji twórczych. Nietrudno przy tym wskazać zarówno cechy, które pojawiają się w każdej wymianie, niejako stałe cechy osobowości nadawcy, jak i te, które odnajdujemy tylko w listach do określonego odbiorcy. Do pierwszej grupy zaliczyć wypada demonstracyjny aktywizm, skłonność do skrajnych sądów, moralną pryncypialność, silnie zaznaczone *ja* autorskie, konsekwentne kreowanie własnej osoby jako jednostki nonkonformistycznej, buntowniczej, niezależnej w głoszonych poglądach (tylko w pojedynczych wypadkach wyznaczniki te tracą funkcję dominującą, nigdy jednak nie znikają całkowicie). Do drugiej: w różny

<sup>25</sup> Na uproszczenia charakteryzujące oceny Bobkowskiego zwrócił uwagę także Stanisław Stabro; idem, *Obraz Polski w korespondencji Andrzeja Bobkowskiego z Jerzym Giedroyciem 1946–1961*, „Ruch Literacki” 2002, z. 4–5.

<sup>26</sup> Por. M. Czerwińska, *Autobiograficzny trójkąt*, op. cit., s. 260.

sposób akcentowaną rolę emocji w osobistych decyzjach, wrażliwość na bodźce zewnętrzne, koszty psychiczne napotykaných przeciwności, stosunek do przyjętych powszechnie norm obyczajowych i światopoglądowych.

\*

Aktywista, pisarz, moralny maksymalista, człowiek wolny – to najważniejsze elementy autowizerunku, jaki tworzy Bobkowski w listach do Anieli Mieczysławskiej. Taka mieszanka cech zarazem wymyka się gotowym formułom osobowości. Tym ponowoczesnym, ale i przednowoczesnym i nowoczesnym. Mimo wielu podobieństw (motyw zerwania z dotychczasowym życiem, kult działania itd.), trudno mówić tu o realizacji paradygmatu romantycznego bohatera<sup>27</sup>. Nie mieści się w nim choćby umieszczenie pracy wśród najważniejszych wartości, krytycyzm wobec polskiego modelu patriotyzmu, zwłaszcza jego ofiarniczego charakteru. Chyba nie jest także pielgrzymem (w tym samym sensie, w jakim używał tego określenia Jerzy Stempowski)<sup>28</sup>; ten wie bowiem dokładnie, dokąd zmierza, czego nie da się powiedzieć o autorze *Szkiców*, jego podróże były zawsze bardziej ucieczkami „od” niż pielgrzymkami „do”. Mimo zdecydowanej odmowy nadania nadrzędnego statusu figurze domu nie jest też ani „włóczęgą” (choć sam tak właśnie w jednym z listów się określił), ani „turystą” w znaczeniach, jakie tym pojęciom nadał Zygmund Bauman<sup>29</sup>. Dla pierwszego świat jest z gruntu niegościnnie, a dyslokacje są zawsze wymuszone, drugi jest przede wszystkim poszukiwaczem przyjemności i to one wyznaczają trasę jego wędrówek. Stosunkowo najbliższe rzeczywistości (najmniej bowiem dookreślone spośród wymienionych wyżej) wydają się w tym wypadku formuły „zboczeniec”, „osoba nadnormalna” nakreślone przez Floriana Znanieckiego w książce *Ludzie teraźniejszości a cywilizacja przyszłości*. Wyrażały one katastroficzne poglądy filozofa, zarazem jednak i nadzieję na odrodzenie się ludzkości zagrożonej rozpadem cywilizacji. Urzeczywistnienie się owego pozytywnego scenariusza zależy właśnie od owych „nadnormalnych” „zboczeńców”, za których uważał ludzi niezależnych, aktywnych, twórczych, samodzielnie kształtujących siebie – tych zatem, którzy są w stanie wydobyć się poza konformistyczne powielanie norm i zachowań społeczeństwa<sup>30</sup>.

<sup>27</sup> Na temat działań autokreacyjnych w odniesieniu do sylwetki Bobkowskiego pisał S. Stabro, *Andrzej Bobkowski. Biografia symboliczna*, „Ruch Literacki” 1993, z. 4.

<sup>28</sup> Takim mianem określił Bobkowskiego Andrzej St. Kowalczyk; por. i d e m, *Słowa – rzeczy – życie* [w:] A. Bobkowski, *Przysiągłem sobie...*, op. cit., s. 19–20.

<sup>29</sup> Z. Bauman, *Jak starać się być obcym i jak przestać nim być* [w:] i d e m, *Ponowoczesność jako źródło cierpień*, Warszawa 2000.

<sup>30</sup> Myśl Znanieckiego referuję za: K. Obuchowski, *Osobowość wobec zmian cywilizacji, czyli o ludziach roli, uczenia się i autorach siebie* [w:] *Dylematy wielokulturowości*, red. W. Kalaga, Kraków 2004. Sądzę, że do Bobkowskiego można również odnieść pojęcie „autora samego siebie”, zaproponowane przez Obuchowskiego.

Nie znalezienie odpowiedniego „wzorca”, który do końca określiłby model osobowości, jaki reprezentuje nadawca tych listów, wydaje się w tym wypadku najważniejsze. Ważniejsze wydaje się zdanie sobie sprawy z faktu, iż mówiąc o autokreacji, dotykamy sprawy dla autora *Szkiców piórkami* niezwykle ważnej, wręcz fundamentalnej; wiąże się ona bowiem z jego generalną diagnozą współczesnej kultury, której zarzucał, iż podsuwając człowiekowi uproszczone modele osobowości, schematy zakotwiczone na ogół w modnych ideologiach, utrudnia mu kontakt z własną naturą, z samym sobą, sprzyja życiu w zakłamaniu. Można rzec: zabiera mu jego autentyczność, jeśli tę rozumieć będziemy za Charlesem Taylorem jako spełnienie ideału „wierności samemu sobie”, samorealizacji, jednostkowej niepowtarzalności<sup>31</sup>. Jeden z ważnych wątków *Szkiców piórkami* tworzy właśnie historia zyskiwania przez diarystę owej autentyczności; wstępem do tego jest odrzucenie wszystkiego, co wmówione, przyjęte na wiarę, narzucone. Wśród owych wartości poddanych surowej weryfikacji naczelną rolę zajmują wszystkie koncepcje kolektywne, traktujące człowieka nie jako jednostkę, jedyną w swoim rodzaju, lecz część zbiorowości i tej zbiorowości podporządkowują jego duchowy potencjał. Najwięcej bodaj zarzutów kieruje Bobkowski pod adresem naszego modelu patriotyzmu i rozumieniu obowiązków wobec ojczyzny. W okresie gwatemalskim napisze z kolei szereg opowiadań (*Punkt równowagi, Spadek, Coco de Oro, Spotkanie* i inne), których fabuła koncentruje się na procesie dojrzwania bohaterów, przejściu przez nich rodzaju „punktu granicznego” równoznacznego z wyzwoleniem się z więzów konwencji i prawd wmówionych prowadzącym do odnalezienia siebie. Przy czym ta odsłonięta autentyczność nie oznacza tu wydobywania jakiejś pierwotnej jaźni, animalnego wymiaru człowieczeństwa – przeciwnie, jest otwarciem na wartości, zapisane w głębokich pokładach osobowości treści moralne. Tym, co odróżnia człowieka Zachodu od innych, jest bowiem uwewnętrzniony system etyczny, oparty na chrześcijańskiej wizji dobra i zła. To dojrzwanie dokonuje się z reguły w obecności innej osoby, która staje się swoistym katalizatorem całego procesu – procesu, który zarazem otwiera jednostkę na innych. Warunkiem jego fortunności jest wszelako odwaga stanięcia wobec własnego *ja* autentycznego, nieprzystońskiego żadnym łatwym pocieszeniem.

Gdy spojrzymy z tego punktu widzenia, bardziej zrozumiałe stają się pretensje, jakie wyrażał Bobkowski wobec sporej części współczesnych sobie intelektualistów, zwłaszcza tych „romansujących” z Systemem (liczne przykłady tego przynosi analizowana tu wymiana) oraz to, dlaczego ponawianym najczęściej zarzutem jest ich rzekome zakłamanie. W pewnym sensie owe negatywne przykłady pełnią tu rolę tła, kontrastu dla sylwetki nadawcy, konsekwentnie budującego swój wizerunek jako człowieka niezależnego w swych działaniach, żyjącego pełnią życia, pogodzonego z samym sobą i światem. Jednym słowem, kreśli

<sup>31</sup> Ch. Taylor, *Etyka autentyczności*, tłum. A. Pawelec, Kraków 1996, s. 27.

Bobkowski obraz osobowości w pewien sposób wzorcowej, która samą sobą potwierdzać ma, iż głoszone przez niego ideały można urzeczywistnić.

Omówiona tu korespondencja pokazuje – być może pokazuje wyraźniej jeszcze od innych – iż pojęcie autokreacja naznaczone jest tu zarazem pewnym paradoksem. Paradoks ten wynika właśnie z etycznej motywacji, jaka stoi za deklaracjami pisarza, a która powoduje, że ów system przebrań, póz, teatralnych gestów, prowadzić miał w ostateczności do czegoś, co jest zaprzeczeniem kreacji jako takiej (także tej specyficznej kreacji, jaką jest literatura), a mianowicie do przekroczenia umowności form i doświadczenia – jak by powiedział Mounier – „współegzystencji”. Nadanie prymatu sferze moralnej, a przede wszystkim przekonanie, iż *ja* pojedyncze ustanawia się wyłącznie poprzez osobowy kontakt z innym, wyklucza zgodę na życie jako grę. Ta bowiem każe również w partnerze zobaczyć tylko aktora, w jego twarzy – maskę. Zarazem jednak tym, co międzyludzkie, rządzi niepodzielnie forma – pod tym względem diagnoza Bobkowskiego niewiele różniła się od diagnozy Gombrowicza. Poza, konwencja, zwyczaj, norma – rządzą naszym zachowaniem i naszym myśleniem. Także reguły owej gry, jaką jest autokreacja – nieodłączny przecież atrybut kontaktów międzyludzkich – wymagają, by nie ujawniać do końca, gdzie przebiega granica między moim *ja* autentycznym a maską, jaką na siebie nakładam.

Jakie wyjście w tej sytuacji widzi Bobkowski? Rozsądek podpowiada, że wyjście może być tylko jedno: grać tak, by nie zapominać zarazem o sztuczności tej gry, być świadomym swego uwikłania w formę, nieustannie ponawiać rytuał autodemaskacji. Rzecz w tym, że tej autoanalizy u Bobkowskiego nie znajdziemy, znajdziemy natomiast wiele dowodów świadczących, iż był przekonany, że dokonany raz akt wyzwolenia na zawsze rozwiązał jego problemy z formą, że granica między tym, co autentyczne a tym, co wmówione, została określona, uwalniając go od codziennych zmagania z napierającą zewsząd formą. Bobkowski zdefiniował się jako człowiek wolny i taki swój wizerunek ogłosił światu. Nieufny czytelnik jego listów ma jednak prawo do niedowierzania w to, czy ów akt performatywnego samookreślenia rzeczywiście się dokonał. Inaczej niż u Gombrowicza, ta sfera pozostała dla Bobkowskiego sferą niewypowiedzianą. I chyba również nieświadomioną.

Ze szczególną uwagą wypada więc czytać te nieliczne fragmenty korespondencji, które pozwalają podpatrzeć ową walkę, jaką toczy Bobkowski o własną autentyczność, walkę, w której nagrodą jest zgoda z samym sobą. Na szczęście wprowadzając w wymianę element flirtu, gry damsko-męskiej, autor mógł stematyzować ów wątek, a wiele swoich zachowań wytłumaczyć obligatoryjnością konwencji towarzyskiej. Nawet jednak w tym wypadku uzasadnienia tego nie traktuje jako wystarczającego:

Nie wszystko jest w 100% pozą – niech Pani o tym pamięta. Na dnie takiej pozy może być ukryta straszliwa miłość, miłość prowadząca niemal do samozniszczenia, ale miłość. Wiele warta.

Tego wolnego kawałka, całkiem wolnego. Daje on nieraz złudzenie olbrzymich terytoriów, a gdy zaczyna braknąć oddechu, można stamtąd zaczerpnąć powietrza. Jest zawsze odświeżające, wzmacnia. I kto wie? – może nawet to ostatnie, najgłębsze westchnienie, będzie dzięki temu lżejsze. Kto wie? [MB 87, 13.2.56].

Nie dowiemy się już, czy nadzieja wyrażona w tych słowach się spełniła. Wiemy natomiast – listy świadczą o tym aż nazbyt dobitnie – że Bobkowski na swój sposób odegrał również własną śmierć. I może w tym właśnie uwidacznia się najwyraźniej powaga, z jaką traktował swe role.

*Michał Kopczyk*

„THE ILLUSION OF VAST TERRITORIES...” THE IMAGE OF THE SENDER  
IN THE CORRESPONDENCE OF ANDRZEJ BOBKOWSKI  
WITH ANIELA MIECZYŚLAWSKA

Summary

This article is concerned with the correspondence between two post-World War II exiles, writer Andrzej Bobkowski (1913–1961) and his close friend Aniela Mieczysławska (1910–1998). With its textual analyses focused on the correspondents' strategies of self-creation, the article concludes that Bobkowski's image inscribed in his letters combines the characteristics of four personae – the activist, the writer, the moral radical, and the free man. Such a composite personality can hardly match any standard role model. It fits neither the pre-modern nor the post-modern epitomes of the romantic hero, the tourist, or the rambler. It is something of a paradox that his firm commitment to authenticity and independence from cultural stereotypes does not prevent him from recreating a series of 'epistolary personae' in his letters. While doing it, he plays no games nor does he tweak any conventions (in so far as the role of the Sender is concerned), as if unaware that in this way he gets himself implicated in the reproduction of cultural stereotypes.